

Widz chce głębszej opowieści o życiu

JAN NOWARA | O premierze „Chorego z urojenia” i innych wydarzeniach końca sezonu – mówi dyrektor Teatru im. Siemaszkowej w Rzeszowie

✎: „Chory z urojenia” to dziś bodaj najczęściej grany tytuł Moliera w Polsce. Poza rzeszowskim wystawieniem w reżyserii Waldemara Śmigasiewicza zaplanowano również premierę w marcu we Wrocławiu, w Teatrze Polskim. Co takiego przykuwa uwagę w molierowskiej komedii – hipochondria, czy coraz większe używanie przez Polaków różnych medykamentów?

JAN NOWARA: Waldemar Śmigasiewicz napisał w programie do przedstawienia: „Żyjemy pomiędzy śmiesznością a tragicznością, gdzie figura tragiczna wieńczy nasze komiczne istnienie”. I właśnie takiego przekazu mogłem się spodziewać, powierzając realizację arcykomedii Moliera artyście, którego wielką pasją intelektualną i twórczą jest Witold Gombrowicz. Nasz chory z urojenia, czyli Argan, w tej roli Marek Kępiński, będąc komicznym i godnym szczerego śmiechu, na końcu stanie się tragiczny. Można by powiedzieć, że w oczach Śmigasiewicza, tak samo jak u Moliera, świat jest pacjentem, który jest nieuleczalnie chory, tylko nie wie, na co. I tak jak Argan na złośliwe pytanie wątpliwej w

jego chorobę służącej Antosi: „Na jaką?”, wykrzykuje z irytacją: „Na chorobę!” – przeczuwając jednocześnie jej najbardziej opłakane skutki. W takiej interpretacji z pewnością farsa spotka się na scenie z dramatem i będzie to prześmieszny i zarazem gorzko-mądry Molier.

Teatr im. Siemaszkowej znany jest m.in. z Festiwalu Nowego Teatru, na którym można zobaczyć najnowsze prądy sceniczne, widoczne jest to również w macierzystych premierach. Czy Waldemar Śmigasiewicz ma zaspokoić potrzeby miłośników „teatru środka”?

To zadanie dla Moliera. Sposób, w jaki Śmigasiewicz się do niego dobiera, absolutnie nie gwarantuje spokojnej i „bezpiecznej” rozrywki. Że będzie śmiesznie, nie mam wątpliwości, ale chwilami może być też śmiertelnie śmiesznie!

W Bydgoszczy i w Kaliszu, gdzie powstały spektakle grane na rzeszowskim festiwalu, w tym zwycięskie, rozpisano konkursy na nowych dyrektorów. Czy to wyraz tendencji, która promuje spektakle bardziej przystępne



MAT. PRAS.

dla widzów, czy raczej nie można tych faktów tak analizować?

Jak sądzę, mamy tu do czynienia z bardziej skomplikowanym zjawiskiem. Owszem, problem zrozumienia artystycznego przekazu zaczyna się pojawiać coraz częściej, kiedy rozmawiamy o naszych przedstawieniach z publicznością, nawet tą, zdawać by się mogło, bardziej rozbudzoną i przygotowaną, na przykład ze studentami i nauczycielami. Nie ma co ukrywać, prostszy i łatwiejszy przekaz oraz lżejsze gatunki mają coraz większe wzięcie. Byłem szczerze zdumiony, kiedy ostatnio do naszego teatru przywędrowała kilkusetosobowa grupa

młodzieży szkolnej z nauczycielami po to, żeby zobaczyć farsowe „Szalone nożyczki”. Bawiła się świetnie i była w pełni ukontentowana! A więc nie tylko dorosłe życie jest ciężkie, praca w korporacji stresująca. Jak widać, młodzieży także doskwiera egzystencja. Jedni i drudzy szukają w teatrze coraz częściej już tylko odprężenia i zabawy. Można się zastanawiać, czy nam wszystkim nie zaczyna już ciążyć samo myślenie i rozumienie. I dlaczego tak się dzieje. To byłaby diagnoza obnażająca stan naszych potrzeb wyższego rzędu, uderzająca także w sferę edukacji, szczególnie w naukę obcowania ze sztuką, która ma się coraz gorzej. Ale są też inne wirusy atakujące polski teatr.

Jakie?

Szczególnie ten określający się mianem postępowego. Najgroźniejszy z nich nazwałbym pokazywaniem języka – w sensie dosłownym i metaforycznym. Chodzi o spektakle, w których artysta jest pępkiem świata. Nieważne, co ludziom opowiada i czy w ogóle chce im coś opowiedzieć. Ważne, jak to robi, a najważniejsze, że on to robi i on pokazuje, jaki ma talent, i że potrafi w każdej chwili zrobić na scenie wszystko. Bo nieistotne, co mówi literatura, jeśli jeszcze w ogóle chce się nam ją czytać. Istotne, co my chcemy

przekazać i zademonstrować. I tu dochodzimy do punktu zapalnego, który znakomicie ilustruje „Kłątwa” w Powszechnym. Jej twórca już niczego nie owija w bawełnę, mówi wprost. Nie chodzi o spektakl, o teatr, w ogóle o sztukę. Chodzi o ingerencję w rzeczywistość – w celu wywołania reakcji społecznej. Sposobem jest prowokacja i skandal. Teatr ma zmieniać świat, aktor ma demonstrować poglądy, a nie wcielać się w postać. Scena jest terenem akcji politycznej. Artyści „postępowego teatru” chcą rządu, i to wcale nie rządu dusz. No i mamy gotową awanturę, którą żywią się media. Moim zdaniem to droga donikąd, bowiem prawdziwszy i bardziej dramatyczny spektakl polityczny rozgrywa się codziennie na innej scenie, z o wiele większą oglądalnością, czyli w mediosferze. A teatr w swoich rewolucyjnych zapędach traci z pola widzenia publiczność, która chce i potrzebuje sztuki, czyli głębszej opowieści o człowieku i życiu.

Oliver Frlić, reżyser „Kłątwy”, nigdy nie ukrywał, że chce działać w mediosferze, zaś Powszechny działa pod politycznym szyldem „Teatr, który się wtrąca”. A czego możemy się spodziewać po goszczącej w pana teatrze wystawie znakomitego niemieckiego plakacisty Guntera Rambowa, która będzie bodaj jedną z

największych artystycznych atrakcji marca w Rzeszowie?

Na pewno mocnych wrażeń, bowiem Rambow buduje swoją twórczość na emocjach i skondensowanym dramacie. To uznany artysta, od lat związany ze znaczącym teatrem operowym we Frankfurcie nad Menem. Jego oryginalny język wykorzystuje mistrzowsko ekspresję fotografii i typografii. Wystawę organizujemy w ultranowoczesnej przestrzeni Uniwersytetu Rzeszowskiego, który jest partnerem wielu naszych działań, szczególnie związanych z Festiwalu Nowego Teatru. I warto jeszcze dodać, że Gunter Rambow był pokazany w Polsce, bodaj osiem lat temu, w Muzeum Narodowym w Poznaniu, więc jego rzeszowska wystawa ma walor świeżości.

Jakie premiery zaproponuje pan widzom do końca sezonu 2016/2017?

Po „Chorym z urojenia” wystawimy „Szkłaną menażerię” w mojej reżyserii. Postanowiłem ją rozegrać poza realnym czasem i miejscem, w którym umieścił swój dramat Tennessee Williams, a mianowicie w głowie Toma Wingfielda, zbuntowanego poety i rockmana, który w wyobraźni powróci do porzuconego domu, żeby odbudować rodzinne więzi. Sezon zakończymy dziecięcą klasyką, czyli „Koziołkiem Matołkiem” w reżyserii naszego aktora, Sławka Gaudyna. ©©

—rozmawiał Jacek Cieślak